Bibl. Jag.

TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.15 151 East 67 Street, New York, N.Y. 9.IV. 1942

Przemówienie do Polski
w przeddzień Wielkiejnocy.

Z głębokiem przejęciem staję przed tym mikrofonem, który ma mnie połączyć z krajem. Onieśmiela mnie to tak dalece, że każde słowo wydaje mi się za mało ważne aby mogło odbyć tę podróż przez odległość i przemoc, a każda myśl za mało pojemna wobec obszaru tematów dobijających się głosu. Co w nich jest najważniejsze dla moich słuchaczów, wybierać można tylko instynktem - jakże zawodnym i omylnym, choćby opierał się na odczuciach najgłębszych i na domysłach najbardziej prawdopodobnych. Dla nas żyjących bez kontaktu z krajem jest to jakby podsłuch czasu i przestrzeni, osłoniętych milczącą ciemnością. I jest to także jakgdyby odgadywanie własnego życia, którego zewnętrzność pozostała przy nas a istota płynie kolejami przenikanemi bodaj podświadomie.

W gruncie rzeczy jedyną kierowniczą busolą śród zgiełku naszej burzliwej epoki, jedynym sprawdzianem jak postępować i myśleć śród obcego świata jest dla nas ten niedoskonały podsłuch i to niepewne odgadywanie Polski. Nie rozminąć się z krajem w ocenie wypadków i wyczuciu losu, staramy się najrzetelniejszym wysiłkiem wewnętrznym. Nie jest to jednak sprawa prosta. Mimo że odwołujemy się zawsze do kraju, nie każdemu może kraj odpowiadać. Jedynem realnem posłaniem z Polski, które od czasu do czasu dociera nietylko do rąk wtajemniczonych, jest krajowa prasa podziemna.

W jednym z tych pism czytałem niedawno o 11-ym listopada ubiegłego roku w Warszawie. Czytałem, że kiedy rankiem ludzie wyszli na ulice, powitały ich z murów miasta napisy wołające o wolność, położone tam niewiadomą ręką. Ta sama nieznana ręka zaniosła w nocy wieńce pod ocalałe pomniki i przystroiła je kwiatami. Nawet niebo sprzyjało temu dniu - donosił niewiadomy sprawozdawca - pogoda towarzyszyła świątecznej pamięci i słońce świeciło nad miastem, gdzie poczęła się polska wolność.

Nie wiem czy w życiu Warszawy dzień ten był mniej potoczny, niż inne, ale mnie wiadomość ta przeniosła w pobliże najważniejszych dla nas idei.

Wolność religji, wolność słowa, wolność od niedostatku i wolność

od strachu - jak je wyliczył szlachetny i mądry człowiek, prezydent St. Zjednoczonych, Roosevelt, - muszą zapanować na świecie, aby padła przemoc a mieszkańcy tej ziemi mogli żyć na niej według swej woli. Ta suma wolności jest nietylko celem wojny, może być również celem pokoju. Wolność stała się programem świata; o wolność - jak nigdy dotychczas - bije się cały świat. Chiny biją się nie tylko o wolność chińską, Grecja o grecką, a Norwegja o norweską - sprzymierzona wolność wszystkich narodów bije się o wolność - jeśli można tak rzec - kolektywną. Świat zrósł się w dwa fronty a linję tego podziału poprowadził między życiem a śmiercią. Jest to najbardziej demokratyczne zrównanie wobec ideału, od ludzkiej woli zależy zrównanie wobec rzeczywistości.

Gdzie w tym wojującym świecie jest miejsce Polski?

Miejsce nasze jest w pierwszym szeregu. Biliśmy się na naszych ziemiach przez wrzesień 1939 roku - i wolno powiedzieć - że miesiąc ten nie skończył się dla nas po dziś dzień. Kraj nasz pozostał w okopach i nie poddał się przemocy. Żołnierz nasz bije się wszędzie, gdzie może spotkać wroga a pobojowisk polanych krwią polską trzeba dziś szukać na dwu częściach świata. Nasz wrzesień nie przeminął w naszem życiu, jakże mógłby minąć w pamięci? Z początku niedający się pojąć w swym tragizmie, potem niechlubnie sponiewierany, wypłynął wreszcie, jak z ciemnego snu, na jawę i powierzchnię świata i objawił niepojęte bohaterstwo żołnierza polskiego. Nietylko w porównaniu z innymi - choć wówczas bitność naszego żołnierza nabiera zaiste epickiego wyrazu - lecz właśnie w oderwaniu, sam w sobie wysiłek walczących Polaków wydaje się już dziś niewiarogodny, wydobyty raczej z legendy, niż zapisany na polach bitewnych.

Jest powszechnie wiadome, że Niemcy wywabieni z poza swych maszyn i pozbawieni swych pancernych osłon, nie wytrzymywali udaru polskiego bagnetu. Żołnierz nasz odnosił we wrześniu zwycięstwa, w których wielokrotnie silniejszego przeciwnika rozbijał doszczętnie i zadawał mu straty najdotkliwsze. Pycha nakazała Niemcom zataić prawdę i nie pozwoliła przyznać się do klęsk. Byłoby to jednoznaczne ze stwierdzeniem bitności Polaków, a to przechodziło granice ich samochwalczej dumy. Niemcy, jak im się zdaje, orzekli o tej wojnie wszystko za siebie i za Polaków, lecz kłamstwo którego nie może sprostować kraj skazany na milczenie, nie przeszło granic ich władzy. Świat widzi walczącego żołnierza polskiego przy boku innych i zdołał już wpisać jego dzielność do swoich najbardziej pewnych wartości wojennych. Przyjdzie czas, który ujawni wszystko co dziś ukrywa się zatajone i kiedy obliczymy wartość naszego oporu nietylko w znaczeniu duchowem ale także w cyfrach i datach.

Już dziś nie ulega wątpliwości, że ośmiomiesięczna przerwa wojenna Niemców po miesiącu walk w Polsce nie była wakacjami triumfującego zwycięzcy ani strategicznem oczekiwaniem wiosny przed rozpoczęciem nowej kampanji. Najwidoczniej wojna z Polską wyszczerbiła ich pancerze, opustoszyła zasoby i wykazała taki niedobór sił, że trzeba było pół roku drogocennego czasu, aby wojnę zacząć na nowo.

Wrzesień nasz trwa w dalszym ciągu. I mimo straszliwego ucisku i cierpień kraju nie jest to już tylko okres bohaterskiej rozpaczy. Z pośród wszystkich krajów zajętych przez wroga Polska posiada największą armję lądową i najsilniejsze lotnictwo. Nasze młode siły morskie zdobywają zasłużoną sławę walcząc niegorzej niż najstarsze i najsprawniejsze floty mocarstw. Wydajność naszej pomocy najdobitniej wyraża fakt, że w wciągu lipca 1941-go roku z ogólnej liczby zestrzelonych Niemców w bojach na Zachodzie, 40 procent, a więc blisko połowa, padła w walkach z polskimi lotnikami.

Nie z pustemi rękami weszliśmy do wielkiej wspólnoty ludów walczących o wolność. Nie stoimy bezczynnie w pierwszym szeregu żołnierskim świata. Nie darmo przypadnie nam udział w zwycięstwie.

Wojna nasza, mimo tragicznego września 1939-go roku nie będzie nigdy wciągnięta do ksiąg pogrobowych bohaterstwa polskiego na podobieństwo walk 1831 i 1863 roku. Nie będzie przedłużeniem żałoby zaczętej w tamtych nocach. Daty ówczesne pozostały w naszej historji, jak słupy cmentarne opowite pamięcią potomnych lecz samotne śród świata, który nie drgnął gdyśmy grzebali pod nimi nam tylko wiadome nadzieje i rozpacze.

Tym razem obojętny dawniej świat, dzieli losy wspólnie z nami. Wojna rozpoczęta w Polsce objęła wszystkie kontynenty i morza naszej planety, z pod murów Warszawy potoczyła się pod Himalaje i ognistemi kulami bije w niebo przywykłe do ciszy podbiegunowej. Potężny przeciwnik, który kolejne bitwy tej iście planetarnej wojny mógł wpisać na swoje dobro, spostrzega że po każdej wygranej jest coraz dalej od ostatecznego zwycięstwa. Jak w odwróconej lunecie, triumf, widoczny dawniej na odległość ręki, maleje i cofa się w przestrzeń niedosięgłą. Przyjdzie czas kiedy przed oczami wroga rozpostrze się pustka i zarysuje klęska.

Im szybciej klęska ta nastąpi, tem bardziej musimy być przygotowani do zwycięstwa. Świadomość naszych celów musi być jasna, a wola do ich zdobycia ze wszech sił natężona. Czegokolwiek oczekujemy po ukończeniu wojny, jakiekolwiek zmiany idei, praw i ustroju przynieść ma pokój, nade wszystko wybija się potrzeba wolności. Nie wydaje mi się możliwe, aby kolejność tych rzeczy dała się zmienić. Wolność jest najbardziej totalnym wrogiem totalizmu. Polska jest cała i jednolita w walce o wolność. Pod tą chorągwią bojową, tak tragicznie samotną w pierwszych starciach, naród poszedł na wojnę i pod nią powróci.

Wolność musi być nietykalna. Polska przyjęła wojnę z Niemcami w obronie nietykalności granic, symbolu wolnego państwa i żadnej próby pomniejszenia swych ziem nie przyjmie inaczej.

Wykonanie zasad deklaracji atlantyckiej, udział nasz w walkach i rekompensata za gehennę kraju upoważnia nas do tego, aby ulepszyć położenie państwa. Ulepszyć nie o zabór ani o grabież, lecz o zjednoczenie wszystkich prapolskich ziem z Rzeczypospolitą. Gdyby ta nowa Polska szeroko rozsiadła się nad Bałtykiem, znalazła na nim jeszcze współpracę z Anglją, oba państwa, nie mające możliwości poróżnienia, oparła o przyjaźń Ameryki, a złączone braterstwem broni i przelaną krwią, stałyby się trzonem nowej Europy. Wielka i silna Rzeczpospolita wróciłaby wówczas do zasad Jagiellońskich, zawarłaby sojusze, chroniła narody, niosła ze sobą dobro i szlachetność.

Jeśli względny tryb tych zdań ma w sobie jakąś miękkość, która nie licuje ze stylistyką godną tych zagadnień, pozostawiam go tu świadomie i nie niszczę po rozwadze. Niech zdradzi mnie i wyjawi skąd pochodzą te myśli. Nie wstydzę się przyznać, że krążą one na pograniczu przekonania i marzeń. Ale któż z nas dziś nie marzy a nawet marzeniami nie żyje. Marzenie bliskie jest wiary i oba te stany łączą się ze sobą i wiodą nawzajem, gdy zbyt trudno bywa na świecie i samotnie w życiu. Marzenie, jak wiara, przenosi góry, przenosi morza i lądy a na nich wybrane przybliża kraje. Jeśli chcemy dzisiaj być w Polsce i zdążyć na czas Wielkanocny, tylko marzenie pomoże nam w tej podróży. Jeśli chcemy dziś ocknąć się wolni i stanąć już teraz wobec przyszłego życia, tylko wiara da nam to jasnowidztwo i przeniesie nas ponad ciemnością czasu. Z marzeń o Polsce i z wiary w jej wielkość powstać musi wola godna bezmiernych, czekających nas zadań. Zgromadzą się w niej wszystkie nasze walki i zwycięstwa, bohaterska rozpacz i niewyczerpana wytrwałość, ockną się leśne mogiły i dźwignie się moc polskich podziemi. Będzie to Zmartwychwstanie siły najbardziej losem doświadczonej, która cierpiała za sprawę całego świata i z grobu wyjdzie nietknięta w swojej potędze.

Kazimierz Wierzyński
Członek Polskiej Akad. Literatury

The call of his native land.

Niedawno miałem ciekawą rozmowę z pewnym młodym Polakiem amerykańskim, studentem uniwersytetu. Wśród poruszonych rozmaitych tematów, padło również nazwisko Józefa Conrada-Korzeniowskiego. Wtedy ogarnęło nas obopólne zdumienie. Młody człowiek mianowicie nie wiedział, że największy współczesny pisarz angielski, może jeden z największych po Szekspirze, jak to niektórzy krytycy angielscy mniemają - był Polakiem. Ja zaś nie dowierzałem własnym uszom, wiedząc że angielskie i amerykańskie monografje faktu tego nietylko nie ukrywają, lecz dziś już nie wątpią, że odrębne i fascynujące cechy jego indywidualności należy wyjaśniać polskim pochodzeniem.

Ale właściwie dziwić się nie wypada. Czy bowiem może być coś bardziej niezwykłego, niż koleje życia Józefa Conrada-Korzeniowskiego? Urodzony na Ukrainie, udaje się z matką i ojcem, uczestnikiem powstania, na Sybir. Po śmierci matki, ojciec wysyła go do Krakowa, pod opiekę wuja. Ojciec, znany pisarz Apollo Korzeniowski, zostaje w końcu ułaskawiony i ostatnie dwa lata swego życia spędza z synem w Krakowie. Młody, 17-letni Józef Korzeniowski ulegając swym romantycznym impulsom i nałogowi marzenia, porzuca rodzinę i puszcza się samopas w daleki świat, by zostać marynarzem. Ileż płomiennej i nieodpartej żądzy przygód musiało być w tym sercu młodzieńca, a zarazem ileż nieustraszonego uporu marzyciela. Nigdy w życiu nie widział morza, a jednak jak lunatyka pociągał go jego tajemniczy urok, znany tylko z lektury. Dotarł więc do Marsylji i wstępuje do francuskiej marynarki. Potem przenosi się do marynarki angielskiej, nie znając zupełnie języka angielskiego. Po dwudziestu latach służby w marynarce angielskiej, przezwyciężając nieprawdopodobne trudności doprowadza do stopnia kapitana okrętu. Naraz porzuca marynarkę, żeni się z Angielką osiada pod Londynem i zaczyna karjerę literacką, pełną błyszczących zwycięstw i ostatecznego triumfu swego genjuszu.

Richard Curle, angielski krytyk literacki, zapytuje ze zdumieniem: "Jakimże dzieje się to sposobem, żeby Polak mógł tak pisać po angielsku?" - i równocześnie przypisuje Conradowi takie znaczenie w rozwoju języka angielskiego, jakie we Francji posiada twórczość Gustawa Flauberta. "Muzykalność prozy Conrada - powiada - nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie angielskich usiłowań, to jest wogóle nowa melodyjność - romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy". I oto tenże mistrz, wykazujący tak niezwykłą biegłość stylu cudzej mowy, do ostatniej chwili swego życia mówił tak źle po angielsku, że trudno było go zrozumieć. Jak donosi jego odkrywca i późniejszy przyjaciel, Garnett, posługiwał się w swoich dziełach wyrazami, które znał tylko ze słownika i dlatego błędnie je wymawiał. Natomiast całe życie pisał i mówił poprawnie po polsku. Stwierdza to Stefan Żeromski w swoich wspomnieniach: "Gdy w roku 1914 miałem zaszczyt poznać w Zakopanem Josepha Conrada, przekonałem się z pewnem zdziwieniem jak doskonale włada on naszym językiem."

I nietylko to jest dziwne. Bo oto ten mieszkaniec kontynentu i melancholijnych równin ukraińskich, ten przybysz dalekiej rasy rolniczej powiedział Anglikom, odwiecznym żeglarzom i Wikingom morskim, czem jest morze w jego posępnej grozie i nieskończonej piękności. I powiedział im to z taką doskonałością i siłą, że stanowiło to dla nich nowe objawienie na co patrzeli od stuleci. Ale Józef Conrad wpadał w szał gniewu, gdy nazywano go pisarzem morza. Uważał bowiem, że w ten sposób paczy się właściwy sens jego twórczości, że uchybia to jego najgłębszym intencjom. Dla niego sztuka jego to "wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie prawdy wielorakiej i

jedynej - ukrytej pod wszelakiemi pozorami". Przedmiotem jego gorącej wrażliwości był przedewszystkiem człowiek. Nie rozkrawał go zimną analizą, ani badał chłodną ciekawością, lecz wnikał z telepatyczną wnikliwością w jego najtajniejsze impulsy, w jego etyczne i biologiczne dramaty. Docierał do głębin duszy, które graniczą ze sferami metafizycznych tajemnic. W ten sposób twórczość jego jest może największym w dziejach eposem duszy ludzkiej, eposem pełnym romantycznego i moralnego piękna. Nie bez słuszności krytycy angielscy tę cechę mistycyzmu, obcą rasie anglosaskiej, przypisują jego polskiemu pochodzeniu.

W Polsce było o Conradzie przez długie lata głucho. On sam był w kraju zaledwie cztery razy, udając się na Ukrainę, w gościnę do swego wuja Bobrowskiego, w roku 1914 do Krakowa. Zdawałoby się, że zerwał kontakt z ojczyzną na zawsze. Dopiero w roku 1899 napisał o nim artykuł Wincenty Lutosławski, równocześnie broniąc go od ewentualnych zarzutów "dezercji". "Nie godzi się potępiać tych - pisał - co w dusznej atmosferze ciemiężonego kraju wytrzymać nie mogli". Artykuł wywołał ostrą replikę Elizy Orzeszkowej, która zarzuciła Conradowi, że zaparł się kraju dla celów merkantylnych, a jego twórczość literacką, rzekomo wyłącznie zarobkową, porównała do "powołania przekupki". Pozatem napisała Conradowi list z niesłychanie namiętnemi inwektywami. Tego listu nie mógł jej Conrad zapomnieć całe życie. Jeszcze w roku 1914 odezwał się o niej do Anieli Zagórskiej z nieukrywaną urazą.

Lecz głęboko moralna natura Conrada czuła, że w tych zarzutach jest coś z prawdy. Nieraz usiłował rozwiązać tajemnicę, dlaczego pisze po angielsku, a nie po polsku, ale wszelkie wyjaśnienia etycznego niepokoju zupełnie nie uśmierzyły. Ten najstraszliwszy problem swego życia usiłuje zgłębić w Lordzie Jimie. W młodzieńcu, który marzył o bohaterskich czynach a potem jak dezerter opuścił tonący statek, by szukać wreszcie odkupienia swego człowieczeństwa wśród dzikiego szczepu Malajów - tkwią niewątpliwie elementy biograficzne. Lord Jim tęsknił "za utraconym miejscem w szeregach" i myślał o "kraju tak odległym, że wszystkie jego domowe ogniska wydawały mu się jednym ogniskiem, u którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść" i do którego powrócić musimy z czystym sumieniem. W swoich wspomnieniach pisze Conrad bez ogródek, że nie zna powodów, dlaczego kraj opuścił i z goryczą stwierdza, "że są ludzie nieskazitelnej uczciwości gotowi mruknąć pogardliwie słowo: dezercja". To dojmujące poczucie winy, którego dramatyczność nie jest miarą objektywnego przewinienia, lecz wyrazem wyjątkowej wrażliwości etycznej, pulsuje wszędzie tam, gdzie Conrad wspomina daleki kraj. To też był szczerze wdzięczny Stefanowi Żeromskiemu, gdy ten w przedmowie polskiego przekładu "Szaleństwa Almayera" podkreślił w autorze przedewszystkiem cechy jego polskości. W liście do Żeromskiego pisze:"Składam łaskawemu Panu najserdeczniejsze dzięki za czas, myśl i pracę, którą mi poświęcił, i za sympatyczne ocenienie, które o d k r y ł o r o d a k a w a u t o r z e."

W roku 1903 pisał do Waliszewskiego:"Jeśli Pan zechce mi wierzyć na słowo, to niech Pan powie, że wciągu moich żeglug po globie ziemskim nie oddalałem się nigdy ani myślą ani sercem od mojego kraju rodzinnego i spodziewam się być tam przyjęty jako rodak mimo mojego anglicyzmu." Była to prawda rzetelna. W czasie Wielkiej wojny publikował w czasopismach angielskich artykuły o Polsce, domagał się jej niepodległości, wykazywał, że Polska jest krajem kultury zachodniej i piętnował zbrodnię rozbiorów. W memorandum do Foreigne Office zwracał uwagę na położenie Polski i domagał się dla niej Gdańska oraz Pomorza. W apoteozie historji Polski drgają tony, przypominające mesjanistyczną poezję naszych wieszczów, niewątpliwe reminiscencje jego młodzieńczej lektury z Krakowa.

W ostatnich miesiącach życia rosła u niego nostalgja, Galsworthy

opowiada, iż "zdawało się, że chce wszystko rzucić i wracać do Polski". Stwierdza to również żona Jessie. Ów niepokój męża nazywa "wołaniem ojczyzny", "the call of his native land." Sądząc, że będzie to najserdeczniejszym wyrazem hołdu, złożonym jego pamięci - zasiała na grobie kwiaty w polskich kolorach narodowych.

Garnett opowiada, że kiedy odwiedził dogorywającego Conrada po raz ostatni, w pewnej chwili uległ tak głębokiemu poruszeniu, że przycisnął do ust rękę wielkiego pisarza. Ten niezwykły dla Anglika gest sprawił na Conradzie wstrząsające wrażenie. Objął przyjaciela w długim milczącym uścisku a potem sięgnął do półki nad głową i wręczył mu polski przekład "Szaleństwa Almayera." Garnett zrozumiał, że Conrad dał mu na pamiątkę coś szczególnie sobie drogiego.

Zenon Kosidowski

Lutnia po Bekwarku.

Jakże mocno w południe pachną lipy w parku
I jaki chłód od rzeki, jak jej rzeźwość wabi!
Teraz siano skoszone na łące się grabi.
Na starej ławce leży lutnia po Bekwarku.
Swierszcz zagrał i na lutni drgnęła struna czysta.
Widzę że padł na ławkę złoty słońca promień.
O lutnio! Nie chcę szczęścia ani oszołomień
Lecz chcę Cię dotknąć ręką, niegodny lutnista.
Już zmilkły sarabanda i włoska pawana.
Wzeszły gwiazdy na niebo. Jest cisza dokolna
I wtedy Jan Cię dotknął. I pod ręką Jana
Zadrgałaś jak plusk rzeki, jak muzyka polna.
W borach zwierz się przemyka, w wodach od ryb czarno,
Pełne ludu gościńce, słońca biją łuny,
Organami brzmi kościół, rynki ciżbą gwarną
A on pogląda w niebo i stroi Twe struny.
Kto jesteś, o młodzieńcze, który oto nocą
Strząsając pył księżyca z uwieńczonej głowy
Jak senny suniesz, w struny bijesz z całą mocą,
Goniąc znikły w alei cień sukni balowej?
Ktoś bzu gałąź pod oknem poruszył liljową.
To powiał wiatr wiosenny i okno odmyka.
Stoję w oknie i słucham jak płynie muzyka.
Myślałem że zapomnę. Pamiętam nanowo.

Jan Lechoń

Teatr Polski współczesnej.
Ciąg dalszy.

Zagadnienie treści i formy dramatu łączy się organicznie z charakterem i dziejami epoki - i tu leży niebezpieczeństwo zbyt szybkiego osądu błyskawicznej epoki, którą przeżywamy. Nie wiemy jeszcze jak długo trwać będzie sam okres wojny w zasadzie dopiero zaczęty, ile tragicznych niespodzianek i dramatycznych figlów spłata nam czas - i toniemy w zu -

pełnej nieświadomości, jeżeli idzie o oblicze tego świata po wojnie. Tworzyć się ono będzie z współczynników zupełnie nam niewiadomych dzisiaj, może nawet nieznanych i na zasadach dziś dla nas niepojętych.

W tych warunkach decydowanie o obliczu ideowym i treści dramatu jako artystycznej formy wypowiedzi społecznej - byłoby śmiałością bez precedensów. Jedynie można na doświadczeniach minionego okresu podsumować pewne wnioski i na podstawie znajomości psychologji widza ustalić pewne ogólne reguły:

Z tych najważniejsze - to dramatyczne przedstawienie życia, konfliktu z przeznaczeniem, walki z losem - ale nie narodów czy grup tylko danego człowieka, bohaterki lub bohatera sztuki. Dopiero z jego perspektywy ująć można dramat narodu, społeczeństwa czy ludzkości. Jako tło, konieczne dla wartości sztuki, jako jej tezę. Patos Konrada czy Kordjana będzie raził zbytnimi pretensjami neurastenika, którego nikt nie prosi, by cierpiał za miljony, natomiast każdy ma prawo wymagać od niego czynnej działalności na swoim odcinku. Widz polski swój obowiązek spełnił i przekona go bohater sztuki podobny jemu z krwi i kości a nie samozwańcza mieszanina mętnego symbolu i megalomanji.

Wampuki historyczne i t.zw. "wielki repertuar" wystawiany ostatnio w Polsce i w Europie zachodniej na otwarcie sezonu dla honoru domu - raz po raz padały z hukiem po dwóch spektaklach, na marne szła ciężka praca reżysera, aktora i dekoratora, bo publiczność wyczuwała instynktownie dystans, jaki ją dzieli od pompatycznych tyrad, papierowych zamków rycerskich i statysty z przyprawianą bródką.

Ratowała egzystencję teatru i jego popularność sztuka, poczęta z myślą o prostym człowieku, jego tragedja czy dramat, który dobrze opracowany stawał się dramatem czasu i epoki, konfliktem stu innych, walką z losem widza i jego otoczenia.

W tajemnicy powodzenia komedji mieszczańskiej Zapolskiej, Kisielewskiego i Perzyńskiego, dramatu Ibsena, Strindberga i Hauptmana, tragedji realistycznych, tworzonych u schyłku życia przez K.H.Rostworowskiego /"Niespodzianka", "Przeprowadzka", "U mety"/ - w tajemnicy powodzenia tych sztuk a nie innych szukać należy rozwiązania problemu istoty dramatu przyszłości.

Szczerość typów ludzkich i ich walka z życiem jest pierwszym warunkiem a przytem podstawowym elementem polskiego teatru przyszłości o jakim marzymy: teatru powszechnego, teatru społecznego.

Zacznijmy od warunku powszechności. Teatr w Europie i Ameryce jest dotąd rozrywką elity. Człowiek przeciętny czuje się w teatrze intruzem. Robotnik, rolnik, czy drobny rzemieślnik idzie do kina, bo się boi teatru. Wyjątkiem tu są jedynie Sowiety, które dla względów polityki wewnętrznej zorganizowały teatr dla mas z olbrzymim sukcesem i wzajemną korzyścią.

Przyjrzyjmy się temu teatrowi. Powstał w niedługim czasie po ujęciu rewolucji w karby organizacyjne - jako instrument propagandy dośrodkowej, jako zdrowy narkotyk samotnych wieczorów człowieka, który powinien myśleć kategorjami narzuconemi przez rząd i rozwijać swą świadomość po linji życzeń Kremla. Kino było zarazkiem zgniłej burżuazji zachodu - więc usunięto film, redukując go do szczupłej narazie produkcji własnej, również propagandowej; teatr Lermontowych i Stanisławskich był w stu procentach rodzimy, świetnie postawiony i grał czysto na strunach duszy rosyjskiego mużyka, chłonnej i skłonnej do poddania się jego magji. Mógł odegrać po latach rolę cementu, spoić sto narodów Związku Republik w jedno ciało.

Tak się też stało. Początkowo bilet teatralny stał się podarunkiem państwa dla ludu, był rozdawany w fabrykach i na ulicy. Później najtańszą przyjemnością. Obywatelowi przypominano o tym przy pracy, w świet-

licy, na zebraniach partyjnych, afiszami, radjem, w rozmowach i dysku - sjach. Aż - pewnego dnia, niewidocznie i cicho stał się koniecznością i Rosjanin zrozumiał jego potrzebę. Stał się teatrem mas, teatrem powszechnym.

Ale w Niemczech po r. 1933 próbowano tego samego eksperymentu i temi samemi metodami - ale bez wyniku. Subtelna różnica powodzenia rosyjskiego polega właśnie na jakości towaru, któremu na imię: Repertuar. I na umiejętnej dyskrecji propagandy. Niemcy przeszli zbyt szybko od repertuaru ludzkiego do czysto nacjonalistycznej brutalnej propagandy. Człowieka na scenie berlińskiej zastąpił zbyt pośpiesznie imperjalista pruski, zbyt wiele i zbyt głośno krzyczał. Aż stał się niezrozumiały i pogłębił przepaść między sceną a widownią. W teatrze moskiewskim robotnik przemawiał do robotnika, do dziecka - dziecko. Wykluczono z gmachu duchy, symbole i czarownice. Wyrzucono bocznemi drzwiami kartonowe pozłacane mebelki historyczne, papierowe pancerze, fałszywy koturn kabotyna i wykrzykniki. Na ich miejsce wprowadzono przekrój domu mieszkalnego z szarą ale jakże prawdziwą symfonją trosk i radości rodziny stachanowca. Mieszkaniec Kremla okazał się chytrzejszym psychologiem od kombinatora z Berchtesgaden; nieporównanie lepiej zrozumiał magję teatru i jego sens. Zrozumiał i - wykorzystał.

Zapyta ktoś: Więc Teatr Polski Współczesnej winien się wzorować na sowieckim? Tak. Mutatis mutandis. Z jego podskórnym nurtem propagandy? Oczywiście! Dlaczego propagować można totalizm i dyktaturę, komunizm i rasowość a nie wolno im przeciwstawić w sztuce kontr-propagandy najszczytniejszych haseł demokracji: równości, braterstwa i solidarnego wysiłku w uszlachetnianiu świata? Teatr polski w pierwszym rzędzie powinien być teatrem polskiej propagandy, demokratycznej racji stanu właśnie dlatego, że los - albo jak mówią inni przeznaczenie geopolityczne - wstawiło go klinem między teatr sowiecki i niemiecki. Demokracja jest też systemem i trzeba ją wpajać zapomocą wszystkich środków wypowiedzi artystycznej widzowi, zdezorjentowanemu wpływami wschodniemi i zachodniemi. Na tym i na umiejętnym podkreślaniu pierwiastka polskiego, roli Polski w świecie, wkładu jej wartości do wspólnej walki społeczeństw o postęp - polegać będzie charakter narodowy Teatru Polski Współczesnej. A na subtelnej analizie duszy ludzkiej w chwilach bólu i radości, na demokratyzacji pojęć, na łagodzeniu walki klas a przedewszystkiem jej warunków, na ewolucyjnym tonowaniu różnic socjalnych - jego charakter teatru społecznego.

Teatr t.zw. społeczny jest określeniem niezmiernie trudnym i często mylnie interpretowanym jako pojęcie. Nazwę bierze się za cel - zamiast za istotę. Do obowiązków teatru społecznego nie należy jedynie i wyłącznie podkreślanie różnic socjalnych, walk klasowych i krzywdy nizin. Jego zadania są o wiele wyższe i rozleglejsze. Teatr społeczny ma być dyskretnym propagatorem umiejętności walki z losem, z komplikacjami życia współczesnego człowieka, ma nietylko obnażać rany ale i leczyć je prostymi przykładami: bohatera, który tę walkę ukończył zwycięsko - i bohatera, który się swemu losowi poddał lub tę walkę przegrał zaszczytnie. Na przemyślanym, artystycznym retuszu fotografji życia i narzuceniu wniosków po zapadnięciu kurtyny. Na tezie, którą widz przetrawi i - zastosuje.

Teatr społeczny Polski Współczesnej stoi przed olbrzymim zadaniem. Idzie na spotkanie człowiekowi, który wiele widział i wiele wycierpiał. Człowiekowi, który w katastrofie europiejskiej pierwszy miał prawo wpaść w zwątpienie i pierwszy zamknął się w swoim bólu. Ma go przekonać o piękne życia, o wartości optymizmu, o dobrej woli człowieka do człowieka, o sprawiedliwości społecznej. Dlatego nie wolno mu kłamać ani zasłaniać się przed odpowiedzialnością historyczną banalnym komunałem. Musi patrzeć prosto w oczy, mówić przekonywująco i - zyskać stracone zaufanie.

Jerzy Tepa

Time bomb. Powieść

Ciąg dalszy.

Nowy atak był groźniejszy niż poprzedni. Samolot opuścił się niżej i kosił swoimi karabinami pod małym kątem.

-Mówiłem, żeby teraz nie wychodziła - szepnął profesor, zły na siebie. Powinien stanowczo zatrzymać ją.

-Idzie, jakby nie rozumiała, że kule - wyraził uznanie Weber, patrząc z werandy.

Wyjrzeli przez okno. Miss Violet rzeczywiście szła spokojnie przez ogródek, nawet nie przyspieszając kroku. Gdy doszła do ambulansu, krzyknęła coś ostro do sanitarjuszy i zaczęła razem z nimi wyjmować nosze.

-I gdzie tu ma pan jakie odruchy?! - wyładował profesor swą złość na asystencie.

Asystent czuł się niepewnie. Miss Violet była dotychczas niedostępna jego analizie. Jakie odruchy pchnęły ją wtedy na dach, jak mówił profesor? O zawodowych nie można mówić. Nigdy nie była przecie strażakiem. Więc jakie? Nie wiedział, co odpowiedzieć, wobec czego z dużym zapałem podszedł do rannego, którego wnieśli sanitarjusze.

-Nagle zainteresował się chirurgją - mruknął do siebie profesor,ale asystent równie nagle cofnął się. Na widok strasznie zmasakrowanego ciała młodego mężczyzny nie mógł opanować się i syknął.

-To jest odruch, ale nie odruch chirurga - mruknął profesor. Obejrzał chorego i przez chwilę bębnił palcami.

-Tak... Od razu na operacyjną.

Sanitarjusze pochylili się nad noszami, ale z dworu doszedł ostry krzyk miss Violet,

-Prędzej! Prędzej do ambulansu! Proszę nie marudzić tam!

Weber posłusznie podskoczył do noszów i kiwnął na asystenta. Ponieśli w dwójkę rannego na salę operacyjną, a sanitarjusze, choć nie zbyt chętnie, wyszli na dwór. Tam miss Violet z szoferem ambulansu dźwigała już następne nosze. Leżała na nich otyła Żydówka i osłupiałymi oczyma wodziła bezradnie po niebie, z którego leciały pociski.

-Oj,Boże,Boże,Boże.... - stękała, niewiadomo czy z bólu czy ze strachu.

-Boli? - zapytała miss Violet.

-Pewnie że boli... Jak nie ma boleć? Uciekam przed nimi taki świat i tu mnie dopadło... Oj, Boże, Boże, Boże...

Uciekała biedaczka z Wiednia do Pragi, z Pragi do Warszawy, z Warszawy przez całą Europę do Brukseli, potem z Brukseli do Paryża, a wreszcie - do Londynu. Myśląc o tej tułaczce uśmiechnęła się przez łzy. Wszędzie miała jakiegoś brata, jakąś siostrę, szwagra czy kuzyna, który przytulił biedną uciekinierkę, a dopiero tu w Coventry została sama.

-Mogłam sobie siedzieć w tym Londynie, bo tam kuzynek, syn brata męża, ma duży interes na Picadilly, Karfunkel i Spółka, może pan słyszał - opowiadała Weberowi, gdy sanitarjusze postawili jej nosze w poczekalni - ale że były duże naloty, to mówili, żebym jechała tu do tego Coventry, bo tu spokojnie, powiedzieli... I akurat tutaj, gdzie nie mam nikogo ze swoich, nikogusieńko, tutaj mnie dostało... Oj, Boże,Boże, Boże... - popłakiwała, przepraszając uśmiechem za swoje łzy.

Spojrzała na nosze, które sanitarjusze postawili koło niej. Ładna młoda dziewczyna leżała skulona bez ruchu, a duże, szeroko otwarte oczy patrzały nieprzytomnie.

Przez werandę niesiono kogoś znowu.

-A żona? Gdzie żona? Jesteś tam? - wołał starczym głosem.

-Niosą tam jakąś panią. Może to żona - uspakajał go Weber, ale staruszek nie wiele już rozumiał z tego, co się działo wkoło.
-Mrs White! Mrs White! - wołał rozpaczliwie ruiną głosu, bezskutecznie próbując unieść się na noszach.
-Mrs White! - zawołał Weber silniej.
-Jestem, jestem - odpowiedział z dworu głos staruszki.
-Jest żona, jest. Zaraz tu będzie.
-Co? Co się stało?... - niepokoił się dalej Mr White.
-Jestem, jestem tutaj, jestem! - uspokoiła go żona, którą miss Violet z szoferem wniosła na werandę. Za chwilę postawiono ich nosze koło siebie.
-Dziękuję,dziękuję - dyszał zmęczony przeprawą Mr White i wyciągnął rękę z szalem.
-Niech pan...niech pan okryje żonę...tym pledem,bo zimno...a żona chorowała na płuca i...
-Nie, nie jest mi zimno - protestowała staruszka.
-Co?
-Pani mówi, że nie zimno. Że nie trza - powtórzył Weber.
-Co?
-Niech pan do niego nie mówi. On jest głuchy - wyjaśniła Mrs White. - Nic nie słyszy. -
To jednak właśnie usłyszał i po chwili,nieco urażony, zwrócił się cicho do żony.
-Słyszę, słyszę bardzo dobrze.Przecie słyszałem wyraźnie, jak ciągnął za łańcuch.
-Kto ciągnął za łańcuch?
-Co?
-Kto?!
-"Kto"!- oburzył się Mr White.-Niemiec!Wyraźnie słyszałem, jak ciągnął za łańcuch.
-Za jaki łańcuch ciągnął cię?
-Nie rozumiesz? Przecie wiem, co mówię! - Łańcuch wywołał ogólne zainteresowanie, więc Mr White wyjaśnił wszystkim.
-Tak nisko leciał, że słyszałem całkiem wyraźnie, jak ciągnął za łańcuch, żeby rzucić bombę.
-Właśnie! Coś mu się przewidziało...Tam przecie nie ma żadnego łańcucha - cicho wyjaśniła nieco zażenowana Mrs White. Pani Karfunkel pokiwała z miłym uśmiechem głową i zmieniła niebezpieczny temat.
-Państwo także z Market Street?
Pani White nie lubiła mieszania się obcych do prywatnego życia.Jeżeli chodzi o zawiązanie rozmowy, to pogoda jest tematem zupełnie wystarczającym. Więc odpowiedziała grzecznie ale krótko.
-Nie.
-Najgorzej na Market Street.Boże, Boże,Boże...Tyle narodu tam przysypało...Państwo także zasypani?
-Nie.
-A ja byłam w piwnicy,to mnie zasypało ze wszystkiem. Tylko noga została mi na dworze...To zobaczyli i odkopali.A państwo nie byli w schronie?
-Nie.
-Czemu państwo nie byli w schronie? - Mrs White,jak wszyscy Anglicy nie była skłonna do zwierzeń,była więc zadowolona,że od odpowiedzi uwolniło ją wejście pół żołnierza - pół cywila z Home-Guards.
-Kto mnie tu podpisze kartkę?-zapytał.-Trza poświadczyć odbiór.
-A co? - Weber podszedł do niego.
-Niemiec, Niemca przywiozłem.

/Dalszy ciąg nastąpi/
Antoni Cwojdziński